

Szczyt wszystkiego – cz. 2

6 września 2009

Mieszkająca w Londynie Ania Lichota zdobyła już sześć z siedmiu najwyższych szczytów na każdym kontynencie. Teraz przygotowuje się do wyprawy na Mount Everest, ostatni szczyt Korony Ziemi. Jeśli jej się uda, zostanie szóstym polskim zdobywcą Korony i drugą Polką, której udało się tego dokonać.

Były już: Kilimandżaro, Elbrus i Aconcagua. Przyszedł czas na Denali w Ameryce Północnej, gdzie cały ekwipunek dźwiga się na plecach i ciągnie na saniach.

TRENING CIĘŻKIEJ WAGI

– Codziennie nosiłam do pracy plecak z litrami wody. Najpierw pięć, potem trzydzieści. Na początku szłam półtorej godziny, potem pięćdziesiąt minut. Wychodziłam z domu o szóstej rano. W autobusie stałam z tym plecakiem bez trzymania, by zapanować nad równowagą. Z kolei na ścianie lodowej w Covent Garden uczyłam się wspinaczki na linach, bo dwieście metrów na Denali pokonuje się będąc przypiętym do lin wbitych w lodowiec. Poszłam jednak na ścianę tylko raz, w porze lunchu. Weszłam tylko do połowy: to jest moja granica. Wbiłam się z powrotem w garnitur i wróciłam do biura. Ściany więcej już nie spróbowałam.

POLARNE DNI

Denali zaciera znaczenie czasu, słońce tam nigdy nie zachodzi, panuje ciągła jasność polarnego dnia. Idzie się nocą, kiedy jest pogoda. Wędrownicy są powiązani linami, które trzeba bardzo silnie naprężyć, by utrzymywać w jednym szeregu sanie. Inaczej zsuwały się ze zbocza, mogły ściągnąć kogoś ze sobą. Między ludźmi, prócz krzyku, nie ma komunikacji. Tak wygląda samotność na górze, tylko ty i ona. Nie ma gwaru, braterstwa, w samotności idziesz i odpoczywasz. Cały dzień widzisz tylko ciągnącą się przed tobą linę. – Jest gorąco, ale wszystko

muszę mieć zakryte, by słońce odbite od śniegu nie spaliło mi skóry. Czułam, jak mnie ubywa. Każdego poranka brakowało mi mojego ciała, bo gubiłam po drodze warstwy tłuszczu. Wokół nas fantastyczne kształty lodowców, gdzieś w oddali majaczy las, słychać ptaki. Był między nami Amerykanin, który wszedł na najwyższe szczyty wszystkich stanów. Zostało mu tylko Denali na Alasce, próbował wejść drugi raz. Dopadła go odma płuc, którą ukrywał przed przewodnikami. Na szczycie stracił przytomność.

W jednym z obozów załamała się pogoda, trzy dni oczekiwania. Jeden z uczestników wyprawy zrezygnował, przez telefon oświadczył się swojej dziewczynie. Mówił, że nie musi iść na Mount Everest, że kupią za te pieniądze dom...

Ostatniego dnia szansy wejścia na szczyt, pogoda była na skraju zaufania, żeby wyprzedzić wiatr, trzeba było iść bardzo szybko, Ania tak nie potrafi. – Kwadrans od szczytu zdecydowałam, że nie idę, by nie hamować chłopaków. To była jedna z ważniejszych decyzji w moim życiu, nauczyła mnie, że jeśli spotykam kogoś lepszego od siebie, muszę dać mu pole do popisu. Los się do mnie uśmiechnął, ale pewnie dlatego, że wcześniej go zaakceptowałam. Przewodnik zapewnił nas, że nie musimy pędzić, zdążymy. Szliśmy w powietrzu, nad przepaścią. Zawieszeni na śnieżnej czapie. Szczyt oznaczał metalowy talerzyk wbity na pręcie w lodowiec. Pod nami były chmury. Za kwadrans miała wybić północ.

OLŚNIENIE CZAKR

Na Carstensz Pyramid w Indonezji można wejść nielegalną drogą przez kopalnie, unikając sześciu dni przedzierania się przez busz. Ludzi przemyca się, przekupując członków indonezyjskiego rządu. Dzień przed wylotem, organizator wejścia napisał, że góra jest zamknięta. Złapano na niej grupę nielegalnych. Ania przyleciała jednak do Dżakarty nie wiedząc, że ekipa się wykruszy. Za trzy tysiące dolarów organizatorzy chcieli indywidualnie przeprowadzić ją przez dżunglę i kanibalskie

wioski. Nie zgodziła się, poprosiła o zmianę terminu i obiecała zorganizować grupę. Tymczasem przez kilka dni poznawała Indonezję.

– Mój organizm przygotował się na długą wędrówkę. Nagromadzona w nim energia nie pozwalała mi więc spać więcej niż dwie godziny, bo w ciągu dnia nie byłam w stanie jej zużyć. Nocą zastanawiam się nad górą. Dlaczego mnie nie chciała? I nagle mnie olśniło: siedem szczytów, czyli siedem czakr. Carstensz Pyramid to piąty szczyt, a więc czakra gardła odpowiedzialna za asertywność, sztukę wyrażania swoich pragnień i potrzeb. Ostatnie podsumowanie mojej pracy dotyczyło sposobu mojej komunikacji z ludźmi, który powinnam zmienić. Zaczęłam kurs, który miał mi pomóc, ale przerwała go wyprawa. Nie skończyłam więc tego, co zaczęłam, kiedy to zrobię, zorganizuję wyprawę na Carstensz. Spokój ducha powrócił. Góra do mnie przemówiła. Do tej pory trzymała się zdrowego jedzenia i trybu życia, bo w ten sposób bez przerwy trenowała się przed kolejnym wejściem. Był to jednak tylko zdrowy rozsądek. W Indonezji pojęła duchowy sens pracy nad kondycją ciała i umysłu, zrozumiała, że wszystkie sfery życia się przenikają: jedzenie, ubiór, myśli, zdania wypowiedziane do pracownika, życzenia powodzenia i złorzeczenia gniewu. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Carstensz był jej pierwszą górą bez testamentu, bo wiedziała, że nic nie może się jej stać. Najwyżej nie wejdzie, bo widać nie jest jeszcze gotowa, ale wróci do domu.

– Kiedy ponownie znalazłam się w Indonezji, przeżyłam deja vu: ten sam hotel w Dżakarcie, powitanie przez tych samych ludzi. W grupie było dwóch zdobywców Mount Everestu, dla jednego z nich Carstensz był ostatnim szczytem Korony; była też Meksykanka, która pół życia zbierała na ten wyjazd. W Sugapie witali nas miejscowi ludzie, niemal kompletnie nadzy i bardzo serdeczni. Zanim podadzą rękę, kładą ją najpierw na sercu. Z Sugapy wchodziliśmy w dżunglę. Była to bardzo dziwna ekspedycja. Jeden z facetów, jako że był już na najwyższym szczycie Ziemi, zignorował Carstensz i okropnie się

przeziębiał. Drugi przestał jeść ryż, który dostawaliśmy trzy razy dziennie, bo nic innego przewodnicy dla nas nie przewidzieli. Wszedł więc ostatkiem sił. Dziewczyna z Meksyku płakała z tęsknoty za swoim dzieckiem. A moi znajomi mieli tak dość tego – dla mnie pięknego – spotkania z dżunglą, że przeklinali dzień, w którym dali się namówić. Błoto po kolana, pająki, pijawki i rzeki, które musieliśmy niemal przepłynąć. Niżej było gorąco, wyżej zimno, wciąż szliśmy w wodzie. Liany wiły się dookoła drzew, a zamiast batonów, żuliśmy liście trzciny cukrowej.

Pięć szczytów. Kiedy pojawia się ich temat, ludzie nabierają dziwnego respektu. Pytają, czego oczekiwać od wyprawy, na którą się wybierają. A góry, każdy przeżywa inaczej.

VINSON KAŻE CZEKAĆ

Antarktyda, szósty kontynent. Na czubku południowego Chile, w Puerto Arena, gdzie w XVIII wieku poszukiwano złota, przez dwanaście grudniowych dni czekali na dobrą pogodę. Tam obchodzili wigilię. Na pasterce Ania spotkała Maryję, Józefa, niemowlę w kołysce, trzech króli i anioły. Cała wieś składała im pokłon.

– Na Antarktydę lecieliśmy rosyjskim Iliuszynem, ogromnym bombowcem ze szklanym dziobem. Można się było na nim położyć i widzieć pod sobą morze, Antarktydę i jak z kosmosu: zarys okrągłego kształtu Ziemi. Taka kulka. Poczułam, że jest moim domem.

Lądowali w Patriot Hills, głównej bazie, która obsługuje każdego, kto znajduje się na Antarktydzie. Jacyś Koreańczycy szukali meteorytów, ktoś inny bił rekord guinnessa. – Zimno, które tam panuje, jest innego rodzaju niż na Denali. Jakby tysiące mokrych szpilek wbijały się w ciało, chociaż powietrze jest bardzo suche. Zimno czujesz w swoim wnętrzu, nie sposób się od niego zdystansować, zapomnieć o nim, najlepiej je zaakceptować, może nawet polubić? Ja je w siebie przyjęłam.

Vinson pokonał również moją niecierpliwość. Przymus oczekiwania powodował, że ludzie zawracali, a jest to góra, która kazała na siebie czekać najdłużej spośród wszystkich.

– Czekając na samolot, który miał nas zawieźć do kolejnego obozu, rozmawialiśmy o tym, co chcieliśmy na tej górze zostawić. Greg postanowił definitywnie rozliczyć się z klęską swojego siedemnastoletniego małżeństwa. Mimo że rozwiódł się cztery lata temu, wciąż nie mógł wybaczyć swojej żonie. Ken przechodził kryzys wieku średniego. Mówił: „Jak tylko wrócę do Londynu, kupię porsche. Młodą dziewczynę już mam”. Chcieliśmy go z tego wyleczyć. A ja? Byłam motorem w każdym moim dotychczasowym związku. Wchodziłam w drugiego człowieka i popychałam go w kierunku, który, moim zdaniem, był dla niego najlepszy. Każdego z tych facetów przytłaczałam w efekcie swoją energią i pomysłem na wszystko. Postanowiłam z tym skończyć.

W dniu odlotu, Ania zagniatała kule z setki jaj i mąki, szybko zamarzały za oknem kuchennego namiotu, a potem były z nich placki i naleśniki. Tak jak na Denali wszystko mieli na swoich plecach i saniach, ale w odróżnieniu od Denali nie widzieli niczego poza jednostajną bielą. Na Alasce w oddali majaczył las, były ślady tundry, tutaj nie wiadomo, czy przed wędrowcem widnieje góra, czy też chmura, wszystko zlewa się w białą, martwą masę. Nie ma zapachów, nie ma dźwięków, nie ma życia. – Któregoś dnia szliśmy 1200 metrów w górę na linach, najmniejsze nachylenie to 45 stopni. Zimno wrzynało się w skórę, nie mogliśmy zdjąć masek ani rękawic. Nasze zupy w trzech czwartych składały się z masła. W najwyższym obozie złapała nas burza, która trwała 36 godzin. Ogradzaliśmy się sześcianami ścian wyrąbanych z lodu. Potem czekał nas szczyt. Było cieplej nad chmurami, niż w dole. Przed nami otwierał się dzień pełen słońca.

MOUNT EVEREST

Zapisała wszystko, co musi zrobić, żeby wejść: pieniądze,

sposób treningu, potrzebny sprzęt, bilety, ubezpieczenie, jedzenie... Ania organizuje tę wyprawę, szuka więc ludzi, którzy wraz z nią podejmą wyzwanie. Wszyscy przygotowując się do wyprawy, będą również zbierać pieniądze na Unicef. Grupa ochotników idzie z nimi do base campu, który mieści się na 5500 metrach. Na szczyt szczytów wejdą już sami, dziesięć osób, które się znają, szanują i wiedzą, że mogą na sobie polegać.

Autor: Elżbieta Sobolewska

Źródło: [eLondyn](#)